

Koniec wakacji



Janusz Domagalik

Janusz Domagalik

KONIEC WAKACJI

[Wydawnictwo Estymator](#)

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-66719-74-3

Copyright © Krzysztof Domagalik

Projekt okładki: Iwona Białas

Fotografia na okładce przedstawia scenę z filmu „Koniec wakacji”, którego scenariusz powstał w oparciu o niniejszą książkę. Rok produkcji: 1974. Reżyseria: Stanisław Jędryka. Autor zdjęcia: Jerzy Troszczyński. Właściciel praw autorskich: Filmoteka Narodowa – Instytut Audiowizualny. Osoby (aktorzy) na fotografii: Agata Siecińska (po lewej) i Marek Sikora.

Stoję w wielkiej auli zupełnie obcego mi gmachu liceum, a dookoła same nowe twarze: nauczycieli, do których już teraz trzeba będzie mówić „panie profesorze” zamiast po prostu „proszę pana”, i potężny, wypełniający całą aulę tłum dziewcząt i chłopców. Ze ściany patrzy na nas, trochę jakby zezowatym okiem, Mikołaj Kopernik. Ktoś tam przemawia...

Nie słucham, co mówi. Nikt zresztą nie słucha, sala szumi setkami rozmów, z których każda niby toczy się szeptem, a wszystkie razem odbijają się w tych murach gwarem kolejowego dworca. Odjeżdżamy przecież, jeszcze tylko kilka przemówień... Opalone dziewczęta w białych bluzkach, chłopcy podciągający krawaty, nowe czerwone tarcze: czyli koniec wakacji.

Niewesoło mi. Czy tylko mnie? Widzę inną salę, w naszej dawnej szkole, gdzie byliśmy klasą najstarszą, i właśnie wtedy nas żegnano, żeby tutaj mogli nas dzisiaj przywitać.

To było zaledwie dwa miesiące temu. Wakacje dopiero się zaczynały, wszystko nam mogły przynieść: słońce i deszcz...

1

Upał był niesamowity, a do rynku ponad kilometr. Ale co miałem robić? Uśmiechnąłem się więc kwaśno i powiedziałem:

— Dobrze! Pójdę zaraz na rynek i kupię te nasiona. A jutro je zasieję w ogródku...

— W czterech rzędach? — upewniła się mama.

— Tak, w czterech rzędach... — i westchnąłem ciężko na znak, że dużo mnie kosztuje to przyrzeczenie.

Otwierając drzwi, usłyszałem jeszcze głos ojca:

— Spytaj u Derdy o rudego. Albo na plebanii...

Miasto było jak wymarłe, ogłuszone przez upał. Od strony kopalni dudniła monotannie sortownia węgla, wielkie koła szybów wyciągowych obracały się sennie. Idę tak sobie i myślę o różnych rzeczach. Zmarnowane wakacje, psiakość! Trzeba było zostać na wsi u wujka. Wróciłem ni w pięć, ni w dziewięć w połowie lipca, a wszyscy chłopcy pewno powyjeżdżali, będę sam się nudził...

— Dzień dobry, panie Cholewa! Co? Na rynek idę, po nasiona. Nie, ojciec zostaje na urlop w domu. To mama wyjeżdża, do sanatorium...

...Żeby tylko znowu nie przyszedł do nas wieczorem, bo będzie głądził do późnej nocy. Mama go nie lubi, a jeszcze dziś, przy tym pakowaniu... Bałagan w mieszkaniu taki, jakbyśmy wszyscy wyjeżdżali. Po co mama bierze aż dwie walizki?

A może by tak po kolacji na jabłka gdzieś wyskoczyć? Na papierówki... Ale sam? To nie ma sensu, samemu to żadna przyjemność. A tego rudego już dawno należało wrzucić do garnka. Co ja się przez tego drania namęczę. Co dzień go trzeba szukać po mieście...

Tak, wielkie miasto! Dziura zadymiona, a nie miasto. Choćby się człowiek dwa razy dziennie mył, to i tak koszule, aż czarne od sadzy. Skąd tyle tego leci? Ale kino to jest tylko jedno. I jeszcze je pół roku remontują... O rany, mógłby ten stary Kuśmierek pędzić krowy po ulicy, a nie tutaj...

— Ej! Pójdiesz ty z chodnika, krowo jedna!

Skreśliłem w stronę rzeki, bo tędy było bliżej. Brudna woda jakby stała w miejscu, a cisza tu jeszcze większa niż na ulicy. Widać stąd było wyraźnie, że całe miasto leży jakby na wielkim, wklęsłym talerzu, którego środkiem przepływa rzeka, a na wapiennych wzgórzach z jednej strony rozsiadła się kopalnia, z drugiej, tam gdzie rynek, zagęszczają się domy wokół kościoła. A wszystko zalane słońcem, które aż do ziemi przygniata.

...Albo i te nasiona. Po co mamie w ogródku kwiaty, skoro i tak wyjeżdża na cały miesiąc? — Maciejka, maciejka, maciejka... — powtórzyłem sobie parę razy, żeby nie zapomnieć, jakie to nasiona mam kupić.

— Pozdrów tego drugiego! — słyszę nagle tuż koło siebie. Patrząc, a to Gruby leży na trawie i opala się, wyciągnięty jak krokodyl.

— Jakiego drugiego?

— No, tego, z kim rozmawiałeś o maciejce. Chyba że mówiłeś do słupa! — I Gruby aż się skręca ze śmiechu, zadowolony, że niby dowcip mu się udał.

Ucieszyłem się, że jest w mieście. Zawsze będzie różnie.

— To co, nie wyjechałeś na obóz?

— Nie było jakoś forsy...

— No to w dechę, Gruby. To już nas jest dwóch...

— Trzech! Jest jeszcze Problem. Ale on ma gościa i chyba się nie liczy. On się zakochał...

— Zwariowałaś?

— Nie. Przyjdź wieczorem, to ci coś opowiem. Bo teraz spać mi się strasznie chce... — I Gruby odwrócił się na drugi bok.

Kiwnąłem głową, bo faktycznie upał był taki, że aż się mówić nie chciało. I poszedłem dalej.

Ulice były zupełnie puste, tylko na rynku przy kiosku z piwem stało paru górników. Sprzedawczyni drzemała, a oni wlewali w siebie to piwo bez słowa, na milcząco. Jednego znałem, Wójcik, kupił niedawno syrenkę. Sam bym się czegoś napił, ale oranżady nie było... A Parasol mówił raz na geografii, że ani piwem, ani oranżadą pragnienia się nie ugasi, tylko posoloną herbatą. Chyba sobie zmyślił, chociaż kto go tam wie... Dlaczego myśmy go właściwie nazwali „Parasol”? Nie pamiętam...

Kupiłem na rynku torebkę maciejki, pogapiłem się trochę na tramwaj, któremu coś się popsuło, bo pałak iskrzył jak wszyscy diabli, a potem wstąpiłem na plebanię. „Żeby tylko nie spotkać proboszcza!” — myślałem, przechodząc przez ogród. Od czasu kiedy byliśmy tu z chłopcami na jabłkach i ktoś potem doniósł proboszczowi, zawsze jakoś niewyraźnie się czułem w tym ogrodzie.

Pokój wikarego, księdza Majchrzaka, był na szczęście od podwórka, i do tego na parterze, tak że nie musiałem w ogóle wchodzić do budynku. Okno było otwarte i ksiądz Majchrzak od razu mnie zobaczył. Trochę się nawet zdziwiłem, że tak szybko podskoczył do okna i gwałtownie zamachał rękami, ale nie podejrzewając niczego złego, spytałem głośno:

— Nie ma przypadkiem u księdza naszego rudego? Ojciec mnie przysłał...

I dopiero w tym momencie spostrzegłem, że w pokoju jest również proboszcz. Odskokczyłem w bok, ale było już za późno.

— Co ksiądz wikary ze mnie głuchego robi! — denerwował się proboszcz. — Przecież wyraźnie słyszę, że chodzi o gołębia, a nie o pana organistę. Organista nie jest rudy, tylko łysy!

W drodze do furtki słyszałem jeszcze, jak ksiądz Majchrzak próbował coś tłumaczyć, a proboszcz krzyczał głośno:

— Tyle razy prosiłem, żeby ksiądz skończył z tymi swoimi gołębiami! Do czego to podobne? Tutaj do księdza więcej gołębiarzy przychodzi niż ludzi do spowiedzi.

Nieprzyjemnie mi było, że tak fatalnie sypnąłem księdza Majchrzaka. Takich pocztowych, jak on miał, to jeszcze nie widziałem. Co temu proboszczowi może przeszkadzać, że ktoś sobie u niego trochę jabłek zerwie albo że hoduje gołębie pocztowe? Nieużyty jakiś... Ale właściwie wszystkiemu był winien rudy. To diabeł nie gołąb. I jeszcze większą złość poczułem do tego łobuza.

U starego Derdy nawet nie musiałem mówić, po co przychodzę. Stał akurat na podwórku i liczył palcem gołębie na sąsiednim dachu. Całe szczęście, że siedziały osowiałe, w taki upał nawet gołębiom nie chce się latać. Bo inaczej toby się ich chyba nie doliczył. Oddał mi rudego i powiedział:

— Uwiążcie go na łańcuchu. Albo sprzedajcie, bo on i tak więcej u mnie siedzi niż u was!

Wracałem inną drogą, koło kina. Gołębia wsadziłem za koszulę i przytrzymałem ręką. A w drugiej ręce ścisnąłem torebkę z nasionami.

Zerwał się lekki wiatr i humor mi się trochę poprawił.

Trudno powiedzieć, jak to się stało. Usłyszałem nagle krótki zgrzyt hamulca i prawie równocześnie coś rąbnęło we mnie z tyłu. Widocznie rozchyliłem ręce, bo rudy zatrzepotał mi skrzydłami koło twarzy i prysnął w górę. Poczulem ostry ból i nagle zrobiło mi się dziwnie słodko, jakbym miał usta pełne cukru.

Kiedy to minęło, okazało się, że siedzę na krawężniku, a ze środka jezdni podnosi się jakaś dziewczyna. Tuż przy mnie leżał jej rower, przednie koło jeszcze się obracało. Dziewczyna była skrzywiona i aż szara od kurzu. Trzymała się za kolano. Chciałem powiedzieć coś na temat jej jazdy, ale zobaczyłem, że cały łokieć mam pokrwawiony, i odeszła mnie ochota do kłótni. Zresztą ona też się musiała porządnie uderzyć. No cóż, zdarza się, wypadek. Podniosłem rower i powiedziałem:

— Chodź, Fornalczyku zakichany! Tam jest woda...

Umyliśmy się na podwórku za kinem, cały czas nie mówiąc ani słowa. Wreszcie ona doszła widocznie jakoś do siebie, bo zaczęła się czesać. „Bardzo ładna dziewczyna!” — pomyślałem sobie i równocześnie strasznie się zdziwiłem. Nigdy dotąd jeszcze nie zauważyłem, żeby jakaś dziewczyna była ładna, a przecież od pierwszej klasy chodziliśmy razem z dziewczynami i wiele ich znałem. Ta była zupełnie obca. Miała jasne włosy ściągnięte do tyłu i tak długo je czesała, jakby specjalnie chciała pokazać, jakie to te włosy są ładne. Wcale nie patrzyła na mnie i w ogóle nic ją nie obchodziło, że jedną ręką ani rusz nie potrafię sobie łokcia chusteczką przewiązać. Nie wiem czemu, nagle rozzłościło mnie to wszystko.

— Dasz wreszcie ten grzebień? Ile można się czesać, co? A jak drugi raz na mnie najedziesz, to cię tak palnę, że zobaczysz. Albo wrzucę do stawu!

Dziewczyna uśmiechnęła się i podała mi grzebień.

— Chodzisz się kapać do stawu!

— Pytanie! Bo co?

— Nic. A w ogóle to przepraszam cię. Koło mi ujechało...

— Koło jej ujechało... — mruknąłem ze złością — koło ujechało, a rudy uciekł! I nasiona diabli wzięli...

— Co to były za nasiona? Powiedz, to ci oddam.

— Nasiona rzodkiewki — odparłem ni stąd, ni zowąd. Nie wiem, czemu wymyśliłem akurat rzodkiewkę, ale powiedzieć: „maciejka”, wydało mi się jakoś głupio.

Szliśmy ulicą bardzo powoli, bo ona jeszcze trochę kulała. Koło mojego domu stanąłem i powiedziałem:

— Ja tu mieszkam...

Nie wiadomo zresztą, po co w ogóle to mówiłem. Tak tylko, żeby coś powiedzieć.

Wyciągnęła rękę i znowu się uśmiechnęła.

— Jeśli to cię interesuje, mam na imię Elżbieta...

— Szalenie mnie interesuje. Pewno myślałaś, że umieram z ciekawości, co?

Nagle mały Jasio Zimek, który siedział na płocie i, patrząc na nas, dłużał niewinnie w nosie, zaczął się wydzierać:

— Julek z panną! Julek z panną!

W oknie na piętrze pojawiła się stara Lepiszewska. Czuję, że się rumienię. Byłem wściekły.

— Wyłącz się, smarkaczu, bo cię zamknę do komórki! — wrzasnąłem i Jasio dał spokój. Zszedł z płotu i uciekł.

— Jesteś Julek? — spytała Elżbieta.

— Nie Julek, tylko ten pętaś nie wymawia „r”. Cześć! — Odwróciłem się i poszedłem do domu.

Mama już się skończyła pakować, ale wciąż była jakaś podenerwowana, kręciła się po mieszkaniu zupełnie bez sensu. Dwie wielkie, wypchane walizy stały w kuchni pod ścianą. A ojciec siedział przy stole i reperował swój zegarek. Zawsze coś reperował, a najchętniej, kiedy nie było zepsute. Jak nie radio, to zegarek, jak nie zegarek, to żelazko albo jeszcze coś innego...

Stałem w drzwiach do pokoju i wyrecytowałem jednym tchem, żeby mnie o nic nie pytali:

— Nasiona kupiłem, Cholewa mówił, że może dziś przyjdzie, rudego nie ma u Derdy, przewróciłem się i podrapałem rękę!

Nie zauważyłem, żeby to wszystko zrobiło na nich jakieś wrażenie. Nikt mi nawet nie odpowiedział. I przyszła mi do głowy dziwna myśl: że ja im tutaj jakby w czymś przeszkadzam, że moje wejście przerwało może jakąś rozmowę... Cały wieczór już potem był taki, milczący i nerwowy. Zmęczyło mnie to w końcu i powiedziałem, że idę wcześniej spać. To chyba ten piekielny upał był wszystkimu winien...

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI